

## Rozwalicie Kościół

Była sesja. Duszpasterstwo działało na zwolnionych obrotach, a i ja łapałem luzy. Studenci mniej się spowiadają, choć grzeszą standardowo. Znam to z autopsji, przecież sam byłem studentem. Dynamizm naszego ośrodka siada. Zatem mam trochę czasu. Rozmyślałem nad tym, jak go spożytkować, i tak sobie wydumałem, że przed domem mamy sporo bruku, który już od dziesięciu lat nie był czyszczony i powoli zarasta, szpecąc urokliwy ogród. Znajomy, od którego pożyczałem myjkę typu karcher, ostrzegał mnie, że to wtopa, że robota na tydzień, że będę upaprany po pachy i na dodatek grozi nam góra błota. Moim największym atutem było jednak to, że się nie znam. Zatem uparcie twierdziłem, że to tylko dwa dni i w ogóle luzik.

Na szczęście z wojska pożyczyłem kombinezony OP1, czyli guma na całość. W robotę wrobiłem jeszcze Krzysia, studenta budownictwa,

bo obronił dyplom inżyniera i obawiałem się, że będzie się snuł w beczynności. Powiedziałem mu, że przed nami wielka męska przygoda, ale on i tak, jak się okazało, miał ochotę zrobić coś dobrego. Ruszyliśmy. I faktycznie przechłapanie. Całe taczki błota, dziesiątki taczek. Gdyby inni nie przyszli z pomocą, umarłbym tam. Ale do czego zmierzam... Trafiły się dwa interesujące spotkania i to już w pierwszych dniach tego szaleństwa.

Przez nasz dziedziniec przechodziła najprawdopodobniej babcia z wnuczkiem. Popatrzyła na mnie ochłapanego błotem od stóp do głów i wskazując malcowi ręką, powiedziała: „Widzisz, jak nie będziesz się uczył, to będziesz jak ten pan mył zafajdane ulice”. Tymczasem malec się zainteresował. Myjka go oczarowała. W krótkich, żołnierskich słowach, nie kryjąc swej fascynacji, objaśniłem mu fenomen działania urzędnika i zaproponowałem, by spróbował. Ucieszył się niepomiarownie. Na to babcia rzuciła się na ratunek i uniosła malca, uniemożliwiając męską przygodę.

Nazajutrz, również ociekając błotem, napotkałem elegancko ubranego pana w podeszłym już wieku. Kapelusz, płaszcz, gustowny szalik, rękawiczki z jełonkowej skóry i zapach kolońskiej.

- Dzień dobry – podszedł, unosząc kapelusz.
- A dzień dobry. Witam pana – odpowiedziałem, przegarniając z nosa obwisłą wydzielinę.
- Przepraszam, czy pan jest księdzem? – zapytał z doskonałą dykcją i lekkim wschodnim akcentem.



- A owszem. Jestem – odparłem dziarsko.

On przez chwilę popatrzył na czubki swych świetnie utrzymanych butów.

- Proszę szanownego księdza – teraz spojrzął mi w oczy. – Tak, proszę księdza, trzeba jednak mieć godność. Trzeba choć trochę się szanować. Nie wolno tak się zniżać. Kapłaństwo to jest jednak dostojny urząd, proszę księdza.

Stałem jak zamurowany. Nie byłem w stanie nic powiedzieć. On rozejrzał się po dziedzińcu, westchnął i powtórnie, zaglądając mi w oczy przez moje obłoczone okulary, ciągnął:

- Wy w ten sposób rozwalicie ten Kościół. Nic już nie zostanie – jego oczy się zwięziły, a twarz zbladła. – Trzeba mieć jednak jakąś godność, jakieś poczucie własnej wartości. Żegnam.

Odwrócił się i odszedł. Nie obejrzał się. Karcherem obmyłem sobie gumowe spodnie, tak prawie do pasa, i wróciłem do roboty.